



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 8 (10 nowy).

POGADANKA BOTANICZNA.



uż kwiatów wszędzie tak pełno, na łąkach, w gęstwinach leśnych, przy drogach i strumykach; nie wspomniemy o ogrodach, bo kwiaty ogrodowe, starannie hodowane ręką człowieka, przekształcone, pozbawione zwykle cech swoich przyrodzonych, dla botanika nie mają takiego znaczenia, jak rośliny dzikie, rozwijające się swobodnie. Te i wam radzimy zbierać, oglądać uważnie, rozpo-

snąć przyjemności, zapoznać się po trochu z botanicznymi cechami kwiatów.

Przedewszystkiém trzeba się nauczyć wyznajdywać w nich podobieństwa i różnice, takim sposobem, porównyując różne kwiaty pomiędzy sobą, dostrzegamy w nich cechy wspólne i poszczególne, a potem ważność i znaczenie tych cech poznajemy. Weźmy na przykład kilka kwiatów, niedużo, bo nie moglibyśmy spamiętać zbyt licznych szczegółów, a wybierzmy najpospolitsze, ażeby każdy, kto zechce sprawdzić natychmiast to wszystko, co tu opowiadać będziemy, mógł łatwo znaleźć je pod ręką.

A więc niech będzie najpierw firletka karmazynowa, smółka także zwana, dla tego, że łodyga jej lepi się do ręki. Każdy ją przecież pozna, choćby już najmniejszego o naukowój botanice nie miał wyobrażenia. Potém poszukajmy w polu lub na utorze owego kwiatka siarczasto-żółtego, który wieśniacy zowią łopuchą, świrzepą lub ognikiem. W rzeczywistości jest to gatunek dzikiej rzodkwi. Następnie znajdziemy tę ładną miodunkę, co ma kwiat z razu różowawy, a później przechodzący w żywą barwę błękitną, z białą gwiazdeczką pośrodku. A teraz weźmy jeszcze fiołkowy kwiatek małej krzewiny, która wije się w miejscach wilgotnych pod płotami, nazywa się psianka słodkogórz, bo młode jej gałązki, rozgryzione, zrazu słodki smak mają, potem gorzkawy. Gdy kwiatki te opadną, pozostają po nich czerwone, podługowate jagódki.

A teraz przypatrzmy się wszystkim tym kwiatkom uważnie i zastanówmy się dobrze nad tém, z czego są podobne

nawać i klasyfikować. Powtarzaliśmy już nieraz, że kwiat jest główną, najważniejszą częścią rośliny, po kwiatkach też botanicy oznaczają rodziny, rodzaje, gatunki roślinne. Ale trzeba być na to botanikiem z powołania, aby dla wła-

jedne do drugich, a czém znów pomiędzy sobą się różnią. Zaczniemy od firletki; chcąc ją obejrzyć dokładnie, musimy, choć z żalem, ładny kwiateczek popsuć, odejmiemy więc kielich zielony, otulający go przy nasadzie, różowe, poszarpane płatki rozsypią się na wszystkie strony, a jest ich pięć, wszystkie odrywają się łatwo za pociągnięciem. Te płatki nie są spojone z sobą, każdy jest zwężony i wydłużony u dołu, a ten szczupły koniuszeczek, ukryty w głębi kielicha, nazywa się paznogciem, część rozszerzona blaszką. Po oderwaniu płatków korony, ukażą się pośrodku kwiatu pręciki, naliczymy ich dziesięć, otaczają słupek o pięciu szyjkach. Po okwitnieniu pozostaje torebka napełniona drobnymi nasionkami. Spójrzmy wreszcie na łodygę i liście naszej firletki, mają one także pewne cechy, zasługujące na uwagę. Listeczki szczupłe, trawiaste prawie, podobnie jak u trawek owijają się przy samej nasadzie dokoła łodygi, tworząc w tém miejscu zgrubienie, tak zwane kolanka. Ale gdy w trawkach z kolanka jeden tylko liść wychodzi, tu widzimy wszędzie po dwa naprzeciwległe. Dodajmy w końcu dla dokładności naukowej, że firletka smółka w klasyfikacji botanicznej ma nazwę łacińską *Lychnis viscaria*.

Przejdźmy z kolei do miodunki. Dobrze byłoby przy tém oglądaniu mieć lupę, szkielełko powiększające, bo gołym okiem trudno dopatrzeć drobnutkich części w kwiatach. Zrobimy więc z miodunką to samo, co z firletką; odejmujemy kielich, bierzemy się do płatków korony. Oho! zaraz nas uderza przy porównaniu pewna różnica. Korona ma, tak samo, jak i u firletki, pięć działek wyraźnych, a jednak nie możemy ich odejmować z taką łatwością po jednym, bo wszystkie u spodu są szczelnie spojone, tworzą jakby rurkę, obejmującą pręciki, których jest pięć w tym kwiecie. I otóż mamy różnicę: taka korona, zrosnięta u dołu, nazywa się jednospłatkową, a taka znów, jak u firletki, w której płatki zupełnie aż do samego dołu są rozdzielone, wielopłatkową. Ale oglądajmy dokładniej naszą miodunkę. W samym otworze korony obaczmy pięć białych łuseczek, one to wyglądają, jak gwiazdka. Na samém dnie kwiatu obaczmy zawiązek nasienny, a ma on także kształt odrębny, jakby na czworo był rozcięty. Kwiaty miodunki nie wyrastają pojedynczo na łodydze, ale jeden przy drugim, a razem tworzą zwiśnięte grona, zakręcone, nakształt pastorału. Łodyga i liście są szorstkie za dotknięciem, kosmate, całe obrośnięte włoskami. Miodunka ma nazwę naukową *Anchusa officinalis*.

Gdy teraz obejrzymy rzodkiew pełną, czyli łopuchę, odrazu spostrzeżemy, że zbliża się więcej do firletki, niż do miodunki: kwiat ten ma koronę wielopłatkową, a każdy płatek kończy się u dołu wydłużonym paznogciem. Różnice jednak są bardzo znaczne. Płatków tych naliczymy tylko cztery, ułożonych na krzyż, a pręcików sześć, cztery dłuższych dwa znacznie krótszych. Linneusz nazywał takie pręciki czterosiłniami. Słupek ma zawiązek nasienny dziwnie wydłużony, gdy kwiat opadnie, zawiązek ten powiększa się, dojrzewa i wygląda wtedy nakształt strączka grochu. Nie jest to wszakże strączek prawdziwy, bo gdy się otworzy, obaczmy w nim, oprócz dwóch ścianek bocznych, trzecią przegródkę, na której ziarenka są osadzone. Taki nasiennik nazywa się łuszczyzną, łatwo go od strączka odróżnić.

Teraz pozostał nam już tylko do obejrzenia kwiatek psianki. Oho! ten znów jest jednospłatkowy, więc zaliczymy go do jednego działu z kwiatem miodunki. Ma on także ko-

ronę u góry rozciętą na pięć kłapek, pięć pręcików... dotąd wszystko prawie tak samo, jak u miodunki, lecz to są tylko pozory, znajdziemy z kolei różnice wybitne. Pręciki całkiem innaczej wyglądają, są króciutkie, niewidoczne prawie, zatępylniki duże, sterczące, stulone są z sobą szczelnie i stanowią wydatny, żółty środek kwiatu. Szyjka słupkowa wznosi się jeszcze wyżej ponad niemi. Kwiaty zebrane są w grona, które nie zakręcają się w kształcie pastorału, łodygi zaś i liście tej rośliny nie są szorstkie, możemy śmiało wnosić, że pomiędzy nią a miodunką niema żadnego bliższego pokrewieństwa.

Ale gdzież to widzieliśmy kwiat zupełnie, ale to zupełnie podobny do tej psianki? Nie w lesie, nie na łące... podobny w ogrodzie warzywnym. Ach, tak! to był kwiat kartofli. Podobieństwo jest rzeczywiście uderzające, bo też i pokrewieństwo blizkie bardzo. Kartofel należy do tej samej rodziny, a nawet do tegoż samego rodzaju, co nasza psianka dzika, stanowi tylko odmienny owego rodzaju roślinnego gatunek. Obie rośliny noszą też w klasyfikacji naukowej jedną nazwę psianki, *solanum*, a dla odróżnienia kartofel zowie się *solanum tuberosum*, psianka słodkogórz *solanum dulcamare*. Kartofel ma jagódki zielone, psianka słodkogórz czerwone, jedno i drugie zawierają pierwiastek trujący, lecz kartofel wynagradza to swojemi wybornemi bulwami. Możecie też znaleźć wszędzie dziko rosnącą psiankę czarnojagodną, *solanum nigrum*, o kwiatach białych i czarnych jagódkach w niektórych okolicach psiankę żółtojagodną.

Inne rodzaje roślin, zaliczone do rodziny psiankowatych różnią się nieco budową i kształtem kwiatu od właściwych psianek, nie jednak dziś o nich nie powiemy, bo toby nam za dużo czasu zabrało, zresztą wszystkie te rośliny były już dawniej opisywane w Piśmie naszym, wspomnimy więc tylko, że do rodziny psiankowatych, *solaneae*, należą najstraszliwsze trucizny, wilcza jagoda czyli belladonna, lulek, bielun, wreszcie tytuń, pomidor, a z kwiatów ogrodowych petunie czyli zawieratki.

A teraz poszukajmy dobrze na łąkach, czy nie napotkamy jakich kwiatków spokrewnionych wyraźnie z owemi gatunkami, któreśmy dziś oglądali szczegółowo. W zbożu o tej porze pełno kąkolów, probujemy ten kwiat obejrzyć, do czego też będzie podobny. Odrywamy kielich, widzimy pięć płatków oddzielnych, z wydłużonymi paznogciami, liczymy pręciki: jest ich dziesięć, pośrodku słupek o pięciu sterczących szyjkach. Wszystko to przypomina nam dobrą znajomość. Ale idźmy dalej, rzućmy okiem na łodygę i liście, może i tu jakąś wskazówkę znajdziemy. Łodyga kolankowata, listki szczupłe, parami wychodzące z kolanek; niema wątpliwości, kąkol musi być w blizkim pokrewieństwie z firletką. W rzeczy samej należy do tej samej rodziny, a niektórzy botanicy zaliczają go nawet do tegoż samego rodzaju *Lychnis*, zwykle jednak zowią go *Agrostemma githago*.

Szukajmy jeszcze. Cóż to za śliczny goździk różowy wyrasta w trawce. Nie taki wprawdzie okazały, jak ogrodowe gatunki, pełne, strzępiaste, bo dziko wyrósł, żaden ogrodnik nie usiłował zatrzeć w nim cech przyrodzonych, lecz dla nas tém miłszy, przypatrzmy mu się bliżej. Co to jest! ten goździk ma także liście szczupłe, łodygę kolankowatą, a kwiat zupełnie budową swoją przypomina firletkę. Pięć płatków w koronie, ślicznie postrzępionych, dziesięć pręcików, w słupku wprawdzie jest mała różnica, ma tylko dwie

zyjki, sterzące nakształt różków wygiętych. Ale to nie nie naczy, goździk należy do osobnego rodzaju, niemniej jednak mieści się w jednej rodzinie z firletką i kąkołem, w rodzinie goździkowatych, *Caryophylleae*.

Moglibyśmy jeszcze znaleźć niejedną kwiat z tej rodziny ale czas nagli, probujcie więc sami, czytelnicy, szukajcie, jeśli natraficie na taką roślinkę, która ma wszystkie cechy opisane wyżej, możecie być pewni, że należy do rodziny goździkowatych. Tymczasem zapoznajmy się z innymi kwiatkami, które nam nastręczyć mogą sposobność nauczania się czegoś więcej o rodzinach roślinnych. Oto śliczna niezapominajka turkusowa wyrasta nad brzegiem strumyka, trudno ją ominąć, niech idzie do bukietu, a jeden kwiateczek obejrzymy bliżej. Lupa przyda się nam bardzo przy oglądaniu tego drobiazgu. Korona jest jednopłatkowa, na pięć kłapek rozcięta, przy samym otworze widzimy pięć żółtych łuszczynek; ktoś o tym nie wie, że niezapominajka ma środek żółty, są to właśnie owe łuszczyki. Dalej znajdziemy pięć pręcików, a zawiązek, głęboko ukryty w głębi kwiatu, wygląda, jakby na szworo rozcięty. Grono kwiatowe zakręca się w kształcie pastorału. Wszystko to przypomina bardzo miodunkę. Tak, niezapominajki, i liście niezapominajki są kosmate, włoskami obrosłe, napotkaliśmy bliższą krewniaczkę miodunki, obie te rośliny należą do rodziny szorstkolistnych lub ogórecznikowatych, *Borragineae*. Żywokost, *Symphytum officinale*, kwiat bardzo pospolity, posiada także te same cechy. Poszukajcie po łąkach, a znajdziecie dużo najpospolitszych chwastów, do tej rodziny zaliczanych, między innymi miodunek, szafirowy *Echium vulgure*, mający kwiaty nieco nieforemne, pręciki długie, czerwone, nakształt rozwartej paszczy, łodygę najeżoną koląciami włoskami i grudkami; wręczcie ogórecznik, *Borrage*, ładny kwiat ogrodowy.

Przejdźmy teraz do warzywnego ogrodu. Oto różne gatunki kapusty, kalafiora, rzodkiew, rzepa; poszukajmy krzaków kwitnących, na nasienie zostawionych. Patrzcież, jak te kwiaty wyglądają: każdy ma cztery płatki, na krzyż ułożone, sześć pręcików, cztery dłuższe, dwa znacznie krótsze. Niektóre już okwitły i pozostały po nich długie, wąskie nasieniki; my wiemy, że to nie są strączki, znamy się przecież na tym, to łuszczyzny. Nie potrzebujemy długo głowy łamać, wiemy, że te wszystkie warzywa należą do tej samej rodziny, a i dzika rzodkiew, żółta łopucha, to są rośliny krzyżowe.

Nim wyjdziemy z ogrodu warzywnego, zajrzymy jeszcze chwilę do tych grządek, tam z boku, gdzie ogrodnik hoduje niektóre kwiaty na nasiona. Wie on, że pełne lewkonie laski nie wydadzą nasion, więc wybiera do tego krzaki mające kwiat skromniejszy, pojedynczy; te nie mogą być ozdobą łombów, lecz nie pogardzajmy nimi, bez nich bowiem nie byłoby na rok następny młodych roślinek i nowych kwiatów wspaniałych. Niedarmo zatrzymaliśmy was na chwilę przy tych łąkach i lewkoniach, te kwiaty w swej pierwotnej, naturalnej postaci, nie zmienionej sztuczną hodowlą, przedstawiają nam także wszystkie cechy krzyżowych: cztery płatki, sześć pręcików czterosiłnych, wręczcie nasiennik w kształcie łuszczyzny. Po łąkach i ugorach znajdziecie mnóstwo chwastów niepozornych o kwiatach podobnych, lecz daleko mniejszych, nie tak ozdobnych, zwykle białych lub żółtych. Poznacie w nich z łatwością rośliny krzyżowe.

Na tym zakończmy dzisiaj, jeżeliście odczytali z uwagą tę pogadankę i obejrzeliby według wskazówek naszych wszystkie,

opisane tu kwiatki, macie już niejaki wyobrażenie o czterech rodzinach roślinnych, łatwych do rozpoznania. Nie wątpimy, że potraficie już sami odróżnić każdą roślinę krzyżową lub szorstkolistną od goździkowatych i psiankowatych. Sprobujcie tylko, a przekonacie się, jaka ta rzecz zajmująca taka umiejętna herboryzacja. Trudno zrozumieć, jak młodzież, mieszkająca, lub przynajmniej spędzająca wakacje na wsi, może obojętnie patrzeć na te prześliczne kwiaty, które ma wszędzie przed oczyma i nie stara się z nimi bliżej zapoznać. To też pragniemy serdecznie rozbudzić w czytelnikach naszych to piękne zamiłowanie.

ŚPIEWAKI BOŻE.

Biedneż my, biedne śpiewaki Boże:
Ledwie, że ranne zaświta zorze,
Z gniazd ulatamy chyżemi pióry,
Goniąc na niebie uludne chmury.

Chmura ucieka my za nią dalej,
A choć żar letni skrzydła nam pali,
W przestrzeni promyk ścigamy złoty,
I wciąż tęsknimy, biedne sieroty!

Jakże nie tęsknić! Ptaszę w przestworzu,
Jak drobna łódka na wielkiem morzu:
Nigdzie przystani, i nigdzie brzegu,
Skrzydła wędrują w ustawnym biegu;

Chrypie głos w piersi suchej z pragnienia,
A nigdzie chłodu a nigdzie cienia,
I nigdzie wody krynicznej źródła,
Kędyby spocząć chwilę w pokoju.

A tak wysoko słońko na niebie,
Darmo ptaszynę ciągnie do siebie;
Darmo nań wdzięcznie promieniem mruga:
Droga do niego ciężka i długa.

Więc małe ptaszę piórka wciąż roni,
Ale czyż słońko kiedy dogoni?
Próżno je ludzi otucha złota:
Biedna ptaszyna zawsze sierota;

Zawsze samotna nawet w błękiecie,
Gdy ranne pieśni nuci o świecie!
A cóż dopiero, kiedy ku ziemi
Zbiegnie z obłoków skrzydły lotnemi!

Smutno jęć, mroczno; nad tęskną głową,
Chłód od cmentarzy wieje grobowo,
I wszelki w głębi źródł zamącony;
A nawet w puchu trawy zielonój,

Zjadliwa żmija gniazdo swe ściele,
I wszędzie rośnie trujące ziele:
Gorzkie piołuny, kolczyste głogi,
Ściele dokoła puste rozłogi:

Nigdzie ostoi w pośród spiekoty.
Biedne wy ptaki, biedne sieroty,
A jednak błogo bujać w przestrzeni,
Pieścić się blaskiem drżących promieni;

Lżejszem powietrzem oddychać w górze,
Swobodnym skrzydłem prześcigać burze,
Strzepiając ehmurkę gonić z daleka,
A lubo zwodnia chyżo ucieka,

Dziwnaż to radość w samej pogoni!
Choć się niekiedy piórko uрони,
Jeszcze skrzydełek na długo stanie!
Błogo ptaszęciu w jasne zaranie,

Na Bożą ziemię patrzeć z oddali,
Przez mglisty błękit powietrznej fali;
Bo to uroczą złuda dla oka,
Gdy na świat Boży patrzymy z wysoka.

Gady i błoto precz poznikały,
 Dokoła perły, złoto, kryształy,
 Lasy oblane w świetle odbłaski:
 Modre strumienie, niby przepaski,
 Smugiem zielonym wiją się kręto,
 A ziemia strojna jakby na święto,
 Odbiciem słońca uroczym pała,
 Jakby niedoli i łzy nie znała,
 Jakby nie była wielką mogiłą,
 Gdzie sto pokoleń kości złożyło,
 Jak gdyby swojej nadobnej krasy,
 Nie odnawiała po wszystkie czasy,
 Krwią, łzą i prochem działwy swęj lichy,
 Co w niej spoczynek znalazła cichy.
 O! stokroć lepiej krążyć po niebie,
 Pieśń nieskończoną wysnawać z siebie,
 Gdy słońce jasno promieniem błyska,
 Niżeli patrzeć na ziemię zbliżka;
 Wszak przez błękitu przestrzenie droga,
 Prowadzi prosto w niebo, do Boga.
 A kiedy piosnkę nuci ptaszyna,
 Ból i tęsknotę wnet przypomina:
 Aż zaśnie w złotą owiana zorze:
 Szczęśliwe ptaszki, śpiewaki Boże!

Seweryna Duchńska.

Nie życz drugiemu co tobie nie miło.

Na jednej z licznych wysepek skalistych, otaczających irlandzkie wybrzeża, żyło kilka ubogich rodzin rybackich, w nędzy, w pracy, pełnej nieustannych niebezpieczeństw, ale swobodnie i w czerstwym zdrowiu. Nędzne ich chaty z odłamów skalistych i z ziemi po części zbudowane były, z małym dodatkiem desek i innego drzewa, jakimś morze, okrutne nawet w swęj łaskawości, obdarowywało czasami wyspę, zgrabiając je nieszczęśliwym, których okręty rozszarpawszy, rozrzucało te ich szczątki następnie po najbliższych wybrzeżach. I odzienia także po części morze dostarczało tym rybakom, bo wśród roztrząskanych sztuk drzewa na wybrzeżach, zwłaszcza po burzy, znajdowano także niekiedy szczelnie zamkniętą pakę lub skrzynię okrętową, a po rozbiciu jęj siekierą, zdumieni biedacy znajdowali w niej różnorodną odzież; piękniejsze sztuki wozili wtedy coprędzej na ląd stały, aby je sprzedać lub zamienić na najkonieczniejsze życia potrzeby, najgorsze zaś sztuki odzieży znalezionej zostawiali dla siebie.

Morze żywiło także tych rybaków, bo nie tylko że dawało rybę, podstawę ich istnienia, ale także w skrzyniach, które ono wyrzucało na brzegi, nierzadko znajdowały się zapasy okrętowej żywności, suchary, mięso solone, wędliny, i przeróżne konserwy, sztucznie przyrządzone i skoncentrowane tak, aby przy jak najmniejszej stosunkowo objętości, zawierały jak najwięcej części pożywnych. Z tego wszystkiego suchary były zawsze najpożądniejszą zdobyczą dla znalazców, gdyż dawały im ów chleb upragniony, bez którego człowiek prawie obejść się nie umie, a skalista ich siedziba była tak dalece nieurodzajną, że żadne zboże, ani nawet owies, ani kartofle na niej się nie udawały. Ledwo mchy, i żdzbla trawy gdzieś tam zieleniły się latem na skałach i w ich rozpadlinach, choć i wśród tych słabych okazów skarłałej roślinności wykwiatał czasem, bardzo rzadko, wspaniały kwiat o jaskrawych barwach, ku podziwowi zbiegającej się na oglądanie go całej rybackiej ludności.

Oprócz tych koniecznych do życia podarków, jakimi morze obdarzało rybaków, przynosiło ono im jeszcze niekiedy inne dary, dziwne, niepojęte prawie, jakby z zaczarowanych krajów, istniejących w rybackich legendach pochodzące, albo wprost z nieba. W wyrzuconych na brzeg pakach bywały kosztowności, broń, różne wyroby, owoce przemysłu, fantazyi i wymyślnych potrzeb ludzi oświeconych i w szczęśliwszych

żyjących warunkach. Wszystko to oczywiście szło na sprzedaż na stały ląd za becen, i to témbardziej za becen, im o cenniejszem było, bo rybacy najmniej to ocenić umieli, a handlarze, kupujący od nich, starali się z ich nieświadomości korzystać. Zatem prosty nóż dobry, siekiera, płótno żaglowe, sprzedawało się prawie wedle rzeczywistej swęj wartości, a sprzedający rybacy znali się na tych rzeczach, ale złoty lancuch i szpilka dyamentowa poszły raz w ręce przekupniów za setną część swęj wartości, a i tak rybacy odurzeni byli szczęśliwą zdobyczą. Żywność tylko nie sprzedawała się nigdy, jako nazbyt cenna dla rybaków.

Tak więc, gdy morze było jakby sklepem i składem tych biedaków, nie dziw zatem, że kochali oni to swoje morze, a ponieważ najwięcej skrzyń, pak, drzewa, sprzętów i t. p. bywało wyrzucanem na brzeg po burzy, więc młodsze pokolenie rybackie, lekkomyślne, jak zwykle bywa młodość, kochało i burzę.

— Ach! jakże to już dawno nie było wielkiej burzy!... — wzdychały czasem młode dzieci rybackie. Ale starsi myśleli o tém inaczej, bo im częściej trochę zdarzała się sposobność „na lądzie” to jest na irlandzkim wybrzeżu, zajrzeć do kościoła i posłuchać chrześcijańskich nauk kapłańskich. Nie umieli oni jednakże wypowiedzieć tego, co myśleli, odpowiadali więc tylko najczęściej starzy wstrząsając głowami i owę westchnienia młodzieży:

— Burzy ci się chce?... hm... tobie z burzą dobrze, a innym źle... — i wzdychali także starzy, z których nie jeden widział już na własne oczy tę okropność, która się rozbiła o okrętu nazywa.

— Och! — odpowiadali młodzi — przecież wy znacie się z morzem, wiecie kiedy i jak, i gdzie wypłynąć, schronić się i wrócić, aby się z burzą nie spotkać.

— Hm, tak, ja się z morzem znam, ale inni...

— Holm, Dzems, Dżons, Rolo, wszyscy nasi starsi, przecież także je znają.

— Hm, tak, nasi je znają, ale inni...

— Jacy inni?

— Hm, ci, którzy na okrętach przepływają tędy, z miejsc odległych płynąc...

— E... ci mię nie obchodzą; co mi do nich; żeby też ja! najprędzej była burza!

Tak mówiła Sara dwunastoletnia, a jęj siostra piętnastoletnia Anna, dodała uśmiechając się:

— Ale taka porządna burza, jak to była wtedy... wiesz — Sara uśmiechnęła się i mrugnęła znacząco: obie myślały o jednym, o tęj „porządnej” burzy, po której, w szkatułce na wybrzeżu znalazł się ów złoty naszyjnik z kamieniami, który one koniecznie pragnęły pozostawić sobie, aby się w niego ustroić, co ich zdaniem prześlicznieby odbijało przy łachmanach, zaledwo okrywających ich wychudzone ciała. Na wyspę nie było kościoła, ani nigdzie w pobliżu, biedne rybackie dzieci miały więc bardzo mało religijnych pojęć, jakie tylko rodzice mogli im udzielać, a ci rodzice sami przecież nie wiele mogli korzystać z bardzo rzadkich nawiedzin kościoła. Zazwyczaj zawióźszy ryby na targ najbliższy na lądzie, gdzie także nie było kościoła w pobliżu, musieli wracać coprędzej na swoją wyspę, stosując się w tém do odpływu i przypływu morza, które było nie tylko ich dobroczynnym, ale także burzliwym i surowym władcą. Nie wiele więc rodzice ci mogli oświecać dzieci w prawach chrześcijańskich. Na ten raz przecież zdobyli się na słowo, jakkolwiek wyrażanie myśli trudnem było dla tych ludzi zapracowanych i w ciągłej walce z żywiołami żyjących:

— Źle mówicie, dzieci, nie trzeba tak mówić, ani tak myśleć — rzekła matka, stawiając w pośród rodziny dużą rybę morską, na wpół tylko upieczoną przy cuchającym i zaledwo tlejącym ogniu z uzbieranych troskliwie i wysuszonych porostów morskich, z dodatkiem odrobiny patyczków, odrachowanych nie mniej troskliwie na rozpalenie, z kosztownego a skąpego zapasu drzewa podarowanego przez morze.

— Dlaczego nie trzeba? — spytała Anna, zatapiając chciwie zęby w kawałku ryby, którą ojciec jęj skwapliwie



Nie życz drugiemu co tobie nie miło (str. 220).

udzielił właśnie, bo wszyscy byli głodni porządnie, jak zawsze zresztą, przy niepożywnym jedzeniu, z ryb prawie jedynie złożonym i to tylko dwa razy dziennie. Przy ciągłej pracy nad połowem, odwożeniem ryb na targ, przygotowywaniem ich sobie na zimę, zbieraniem porostów i suszeniem ich na zimę, i innych tym podobnych zatrudnieniach, od których zależało życie rodziny i przetrwanie ciężkiej zimy, nie było nawet czasu na przygotowanie jakkolwiek nędznego posiłku i na jedzenie samo, zatem rano i w wieczor posilano się tylko. Były to także chwile skąpej wspólnej rozmowy, na którą przy pracy około niemych ryb nie miano także czasu.

— Dla czego nie trzeba? — powtórzyła matka, słowa Anny — dla tego, że źle jest tak mówić i to nam samym przynosi nieszczęście; mówił coś o tym proboszcz w kościele „na lądzie” gdyśmy tam byli razem; pamiętasz, ojcze?

— Pamiętam — rzekł stary rybak — ale nie mogę sobie przypomnieć, jak on to mówił...

— Mówił tak jakoś, że... że... nie należy, nie należy... życzyć komuś drugiemu tego, czego sami nie lubimy.

— Ej, jeszcze nie tak mówił, oto tak jakoś powiedział: „nie życz drugiemu co tobie nie miło”.

— Ech, a kiedy nam właśnie bardzo miłą jest burza

DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

i przeto jęć sobie życzymy! — zaśmiały się dziewczęta. Rodzice nie znaleźli na to odpowiedzi. Wszyscy ci ludzie twardego cokolwiek byli serca, bo stwardniało ono w ciężkiem życiu, tak samo, jak ręce ich w ciężkiej pracy stwardniały.

Po zjedzeniu dużej, tłustej jak wszystkie morskie, ryby, rodzina na nowo pośpieszyła do pracy. Rybak popłynął na połów z towarzyszami. Matka i dziewczęta śpiesznie naprawiały uszkodzoną sieć, a potem matka rzekła:

— Już ja sama dokończę reszty, wy zabierajcie prędko koszyki na rybę i biegnijcie nad morze: burza grozić podobno zaczyna, więc ojciec natychmiast powróci przed burzą, nie daleko też popłynęli; idźcie, ja tam zaraz z większym koszem za wami podążę.

Dziewczynki skoczyły coprędzej, chwyciły koszyki i pobiegły. Ale jakkolwiek się śpieszyły, burza szła jeszcze prędzej. Była to zaś niepospolita burza, jakie nie często trafiają się nawet i w tych burzliwych okolicach.

Dziewczynki biegły wesoło, ani wątpiąc, że ojciec, znając się z morzem doskonale, dopłynie do brzegu bezpiecznie, ubiegłszy na czas burzę. Zdziwiły się więc bardzo, nie ujrzawszy na wybrzeżu nikogo. Pobiegły co prędzej na ostatni koniec małego przylądka, daleko występującego w morze, zkad najdalej za skały spojrzeć można było. Jakoż ujrzały ztamtąd znaną łódź ojca, walczącą z szalejącą już burzą. Dziewczyny struchlały, widząc, że gwałtowność burzy ubiegła nawet doświadczonego rybaka, który przeto po raz pierwszy w życiu przerachował się z powrotem. Łódź walczyła o każde pchnięcie wiosła, o każdą piędź wodnej przestrzeni, usiłując dostać się do bardzo blizkiej już ziemi, tuż koło której mogła właśnie najłatwiej rozbić się o skałę. Posuwała się jednak ciągle, aż prawie u brzegu, stanęła, zakręciwszy się w miejscu, jakby dostała zawrotu, burza ryknęła, i morze zawrzało silniej, niż dotąd, łódź jak deska kręciła się, raz na wierzchu wielkich jak góry bałwanów, to znów przepadała u ich stóp w przepaści wodnej, aż ogromny bałwan zalał ją zupełnie i pochłonął na chwilę.

— Wielki Boże! poskrom burzę! już nigdy nie będziemy jęć pragnąć! Ratujcie! ratujcie! Boże ratuj ojca! ojciec tonie! — Tak krzyczały dziewczęta; Sara złożyła ręce jak do modlitwy, trzęsąc się z przerażenia, a wtém Anna krzyknęła:

— Natchnij mię, Boże, abym ojca uratowała, a przysięgam Ci, że już nigdy nie będę życzyć źle nikomu!

Nagle, pochwyciła Anna leżący na skałe bardzo długi sznur rybacki, przytwierdzony do skały jednym końcem, owinęła się drugim w pas, schwyciła blaszaną butelkę z oliwą, stojącą tam w załomie skały zawsze na takie właśnie wypadki, i skoczyła w morze wzburzone dziewczyna, kierując się ku łodzi blizkiej, lecz której załoga straciła już siły do nadmiernej walki. Anna dzielnie umiała pływać, lecz i rybak dorosły najdzielniejszy zawahałby się stawać do walki z żywiołami, w tak strasnej chwili. Sara, rozumiejąc dobrze co czyni siostra, padła na kolana, wzniosła ręce do nieba i po stokroć powtarzała poprzednie przysięgi:

— Boże! Boże! ocal mi ojca i siostrę, a przysięgam, że już nigdy nie będę pragnąć burzy, która innych ludzi czyni nieszczęśliwymi.

W czasie tej modlitwy Sary, siostra jęć zdołała dosięgnąć łodzi, bo wielki bałwan sam ją tam wrzucił przypadkiem, i oddała ojcu butkę z oliwą; on ją natychmiast rozlał umiejętnie na fale, bo swoją już wprzód spotrzebował, fale uspokoiły się chwilowo w miejscowości, na którą podziała oliwa, rybacy dzielnie skorzystali z chwili i wkrótce łódź dostała się z rybakami i z Anną do brzegu.

Dziewczynki odtąd nigdy nie pragnęły burzy, a gdy zbierały z innymi rybakami wyrzucone przez nią przedmioty, to zawsze smutno wzdychały i modliły się pocichu a serdecznie za nieszczęśliwych.

Mundzio także mniej więcej podobne wygłaszał zdania przytém bardzo był „delikatny”, jak mawiano, czego jednak trudno się było domysleć, patrząc na zdrowego, swawolnego i rozpróżnionego chłopca. Ciocia Michalina kilkakrotnie usiłowała przekonać swą bratową, że wychowanie dzieci było bardzo zaniedbane, ale pani Malicka odpowiadała opryskliwie:

— Ależ, moja droga — dla Mundeczka jeszcze czas, Melcia zaś ma zgrabną figurkę, tańczy „à ravir”, umie się zgręcznie uklonić, nawet walce grywa wcale nieźle; to dla panienki najważniejsza. Poco jęć te mądrości, żeby nad niem zdrowie straciła i była ciężarem sobie i innym?

Biedna panna Michalina nie odzywała się już po takiej przemówce, chociaż wiedziała dobrze, że wcale nie z „mądrości” miała pokrzywione ręce i nogi, i że jeśli co, to obok modlitwy praca umysłowa pomagała jęć znosić dotkliwe cierpienia i zachować pogodę umysłu. Próbowwała także ciocia przywabić do siebie bratanek, ale Melcia, która ulubionego pinczerka Zizia okrywała pocałunkami i pieszczotami, dla słabej ciotki nie znalazła nigdy serdecznego słówka i nudziła się w towarzystwie rozumnej, miłej, lecz nie lubiącej o sukienkach i ploteczkach rozprawać, cioci Misi.

— Czy ciocia wie, że pani hrabinie Z. przysłano trzy suknie z Paryża, ale wcale nieszczególne, mówi mama, a przecież zapłaciła za nie 500 rubli?

— Żałuję, że pani hrabina marnuje tyle pieniędzy na podobny użytek, ale patrzno, Melciu! jaką mi przysłano zajmującą podróż po Afryce; z rycinami, może ją chcesz przejrzeć?

— Widzę, widzę. Jakiż to szkaradny ptak! A to kwiat czy grzyb, nie wiem? Ale, chère tante! pan Alfons był wczoraj u papy i słyszałam przezedrzwia, jak się skarżył, że przegrał 3,000 jednego wieczora; on musi być bogaty, prawda, ciociu? i tak się ładnie czesze.

— Szkoda, że bogaty.

— Dla czego szkoda, ciociu?

— Bo człowiek majetny i młody, jak pan Alfons, mógłby wiele pięknych rzeczy uczynić, zamiast w karty przegrywać pieniądze.

— Ale, tantusiu! on ma takie piękne konie i panna Pichon mówi, że bardzo ładnie wychowany; ślicznie po francuzku mówi, jak prawdziwy Paryżanin, bo nigdy r nie wymawia, tylko tak ładnie *hhr, hhr!* I ja tak próbowałam, ale nie potrafię!

— Fe, moja Melciu, co też ci do głowy przychodzi! Można bardzo pięknie mówić po francuzku, nie psując r i trzeba ci wiedzieć, że w samém Paryżu wiele osób wykształconych bez tego się obchodzi.

— Ciocia była w Paryżu, prawda? Ach, jaka ciocia szczęśliwa. Jak tam się muszą ładnie ubierać!

— Byłam, dziecko moje, nietylko w Paryżu ale w wielu innych miejscach pięknych i ciekawych, ale przyznam ci się, że najmniej mnie to zajmowało, jak się ubierają. Wszędzie, mniej więcej znajdują się nierozsądni ludzie, co tylko o stroju myślą, nawet dżicy w Afryce i Oceanii przebijają sobie uszy lub nos, żeby pięknie wyglądać, nawieszają tam muszli, blaszek i t. p.

— Fi, ciotuniu! Nos przekłówać, to brzydko, ale nosić kolczyki brylantowe i ślicznie się ubierać, to wielka przyjemność; ja to najlepiej lubię!

Westchnęła panna Michalina; zwykle bowiem w ten sposób kończyły się rozmowy z bratanek, która nad czém inném ziewała, lub kręcąc się na krześle, wyraźnie poznać dawała, że tylko przez grzeczność słucha cioci Misi. A było czego słuchać, gdyż panna Michalina dawniej wiele podróżowała, znała świat i ludzi, czytywała dużo i teraz w chorobie spro-

wadzała mnóstwo nowych książek, z których się dowiadywała, co się dzieje zajmującego na szerokim świecie. Nieraz gdy próbowała zająć bratanek jakimś opowiadaniem, a ta bawiąc się frendzlami uhrania, albo muskając włosy mimowolnie, słuchała z widocznym roztargnieniem, nie pojmując nawet o co rzecz idzie, wzrok panny Michaliny padł przypadkiem na siedzącą w kąci z robotą Dosię, która z błyszczącymi oczami zdawała się chwycić każde słówko i zapisywać je sobie w pamięci.

Tak każde małe ziarneczko padające na ten grunt dobry, bujnie się rozkrzewiało i biedna, skromna sierotka, nabywała z dniem każdym nowych wiadomości. Latem Melcia przechodziła do ciotki na lekcje botaniki, z których jakoś nic zapamiętać nie mogła, bo jej nie interesowała; za to przysłuchująca się z daleka Dosia, poznała rośliny krajowe wybornie i ona to zwykle w ogrodzie wyszukiwała potrzebne okazy, liście, kwiaty, korzonki i t. p. Kiedyś, gdy podawała, pannie Michalinie zeszyt, w którym się codziennie ćwiczyła w pisaniu, wypadła zeń kartka z odrysowanym wcale udatnie tulipanem, obok grubiej łodygi z liśćmi i kwiatem, osobno odrysowane były pręciki, słupek, wszystko tak, jak dnia poprzedniego tłómaczyła pokazując brataniec panna Michalina.

— Kto to rysował? — spytała dziewczynki, a ta, spuszczać oczy, zawstydzona i zarumieniona, jak gdyby co złego zrobiła:

— To ja próbowałam, proszę pani — wyszeptała — ale nie umiem zrobić tak, jakbym chciała.

— Przeciwnie, jak na pierwszy raz, bardzo dobrze narysowała.

Odtąd panna Michalina kazała Dosi przy sobie wprawiać się w rysunku, do którego dziewczynka widoczny miała talent.

— Artystką nie będziesz — mówiła do niej — zwłaszcza z taką, jak ja, nauczycielką, co sama ołówka w rękę utrzymać nie może, ale ćwiczenie się w rysunku wprawi ci rękę i oko, a przyda się do każdej roboty.

I przeszedł rok cały i jeszcze pół roku, od kiedy Dosia, posługując pannie Michalinie, uczyła się z nią, pracowała wszelkimi siłami, byle dobrze pojąć to, co jej mówiono, a odgadnąć więcej jeszcze. Bóg pobłogosławił dobrą chęć sieroty, dał jej sposobność do nauki, której tak pragnęła od dzieciństwa; zesłał opiekunkę złą, do której się sercem całkiem przywiązała, ale mimo to wiele jeszcze miała biedaczka przykrości do zniesienia. Martwiła się Stefankiem, który teraz za kozaczka paniczowego przybrany, wzięty był do dworu i służył ku zabawie niedobrego Mundzia. Chłopczyna charakteru prawego, śmiały i żwawy, nie miał jednak tej łagodności, jaką wyrobił w sobie potrafiła Dorotka i nie umiał się uniażać przed paniczem, który tego właśnie wymagał. Trudno było bardzo Dosi wpłynąć na braciszka tak, żeby go nakłonić do uległości w drobnych rzeczach, z tem jednak, żeby nigdy do złego nakłonić się nie dał; a właśnie rozpieszczony Mundzio ciągle miał coś do ukrywania przed rodzicami i namawiał chłopaka do współnictwa w niedorzecznych, a nawet niegodziwych figlach. Stefanek starał się powstrzymać panicza, a jednak, gdy coś podobnego na jaw wyszło, cała kara spadała na chłopaka, jak gdyby on do złego namawiał i naprowadzał lubego Mundusia.

Kiedyś, na przykład, gdy pan Malicki z domu wyjechał, synek zakradł się do jego pokoju przez okno, wyciągnął z tamtąd strzelbę, której mu ruszać nie było wolno i bawił się zdala od domu strzelaniem do ptaków.

Za powrotem ojciec poznał, że strzelba była w obcych i to niezręcznych rękach: nuż śledzić, rozpytywać, témbardziej, że drzwi były na klucz zamknięte; nikt się nie przynął, naturalnie, mimo wypytывania i łajania; wreszcie, chodząc po pokoju dostrzegł pan Malicki pod stolikiem guzik od ubrania kozaczka. Otóż i ślad winowajcy: wzięto Stefanka na spytki, a mimo, że się uniewinniał i przysięgał, iż nie śmiałby wejść do zamkniętego pokoju, skazano go na srogą karę — za złe skłonności i bezcelne kłamstwo.

Obity różkami, zamknięty o chlebie i wodzie na trzy dni,

chłopiec w oburzenie zaciął usta i postanowił uciekać, choćby na głód i nędzę, skoro go tylko wypuszczą z tego więzienia. Zapłakana i zgryziona Dosia zaledwie potrafiła wcisnąć się tajemnie do braciszka, dawszy srebrny krzyżyk (który od panny Michaliny była dostała) stróżowi, żeby ją wieczorem puścił do drwalni, gdzie zamknięto małego więźnia. W kącie na garstce słomy siedział z głową na rękach wspartą Stefanek, chmurny, milczący i nawet za wejściem siostry oczu nie podniósł. Zbliżyła się cicho, objęła go za szyję i nic nie mówiąc, rzewnie płakała.

(D. c. n.)

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

O świcie udano się w dalszą drogę, jadąc ciągle środkiem zwalisk. Czasami spotykano olbrzymie głazy z wrytymi na nich wizerunkami jaszczurek, antylop, gadów i żółwi. Niekiedy odłamy skalne przedstawiały ludzi lub zwierzęta. Wedle najnowszych badań, wiadomo, że ludy zamieszkujące niegdyś okolice, przebywane przez naszych wędrowców, były rolnicze i mniej więcej jednego szczepu. Doskonale zachowane ich mieszkania, niektóre jakby wczoraj dopiero opuszczone, tem samem dowodzą, że mieszkańcy musieli opuścić je nagle, lub zginąć od razu. Czy uciekli przed grozą jakiego strasznego kataklizmu przyrody, czy też przed najściem Apaszów? Pierwsze z tych dwóch przypuszczeń zdaje się bliższem prawdy. W ogóle kraj ten, w którym za każdym krokiem napotyka się ślady starożytnej cywilizacji, jest obecnie tylko gdzieś niegdzie zamieszkałym przez nielicznych Indian. Brak deszczów w tych obszarach przypisują uczeni nagletemu wyniszczeniu lasów przez mieszkańców skał. Amerykanie marzą o przywróceniu dawniej żyzności równinom Arizony, Colorado i Nowego Meksyku i w naszych czasach uchwalili nakłady na studnie artezyjskie i na sadzenie drzew.

W dwadzieścia cztery godzin po opuszczeniu rozpadliny mieszkańców skał, podróżnicy stanęli na lewem wybrzeżu rzeki Puerco. Ujrano tam pasterzy z pokolenia Nawajów, pasących trzodę. W chwilę jedną wszystkie owce porżnięto, bo każdy Komancz potrzebował barana, a żeby wyciąć zeń ulubiony kawałek mięsiami. Ojciec Anzelm chciał się ująć za złupionymi pasterzami, ale Nilka szepnęła mu, że w podobnych razach nawet władza Otumpy nie miała znaczenia. Ojciec Anzelm poszedł tedy już tylko pocieszać pasterzy, którzy spętani, z przestachem patrzyli z daleka, na potężnych Komanczów.

Nawajosy należą do plemienia Apaszów. Zamieszkują oni w okolicy górzystej krainie od ich imienia nazwaną. Budują sobie chaty z cegły suszonej na słońcu, uprawiają kukurydzę, hodują zwierzęta, konie, osły, barany. Mimo tych niby spokojnych zatrudnień, przecież czasem zapuszczają się w głąb Nowego Meksyku na rabunek i uprowadzają z tamtąd w niewolę mężczyzn, dzieci i kobiety.

Na prośbę ojca Anzelma, Otumpa zakazał swym wojownikom znęcać się nad Nawajosami, a nawet, puścił ich następnie na wolność, pozostawiając sobie dwóch jedynie przewodników, aby go doprowadzili do Colorado. Byli to ludzie silni, dobrze zbudowani, o rysach regularnych, prawie europejskich. Odziani byli w bluzę bawełnianą, krótkie spodnie i coś w rodzaju kamazy. Mieli tarcze, piki i maczugi.

W dwa dni później, przebywszy śliczne łąki uwieńczone pysznymi drzewami, kawalkata dotarła do rzeki Colorado, Otumpa zatrzymał się tu przez kilka dni, ze względu na konie, potrzebujące spoczynku. Rzeka Colorado toczyła żółtawe wody w dość głębokim łożysku. Konie rozkoszowały się przepyszną trawą, okolica zielona i żyzna cudownie piękną

była w oczach tych, którzy dopiero co dzikie pustynie przebyli. Nazajutrz zaraz, trzydziestu Komanczów udało się na polowanie i przyprowadzili do obozu dwadzieścia wołów, dwańście baranów i pięć koni, objuczonych kukurydzą. Tymczasem Paweł z ojcem Anzelmem badali i rozkopywali jakieś zwaliska w pobliżu.

Przez pięć dni Komanczowie odpoczywali po trudach podróży, jedząc, gdy się przebudzili, a śpiąc, gdy się najedli. Nilka uczyła się mowy swoich przyjaciół, a Karol nawzajem mowy Komanczów. Ojciec Anzelm zaprzyjaźniał się ze wszystkimi co raz serdeczniej, a Minno i Wampa palili fajki w milczeniu, czasem tylko uznając, że lasy całego świata niczem były, w porównaniu do lasów Zielonej Skały.

Szóstego dnia, Otumpa nakazał dalszy pochód ku rzece złotej. W tém, o trzeciej po południa przypadła straż co koń wyskoczy, dając znać, że obcy wojownicy się zbliżają. W mgiełce oka Komanczowie byli na koniach, ukazało się z pięćdziesięciu obcych dzikich. Byli to Mokisowie, pokolenie sąsiedzkie i pokrewne z Nawajosami. Mokisowie dzielni i pragnący swobody walczyli nieraz zwycięsko z Hiszpanami i nigdy nie dali się ujarzmić zupełnie. Przybysze zatrzymali się o kilkaset metrów od obozu i jeden z nich zbliżył się jeszcze bliżej, niosąc strzałę zwróconą ostrzem ku niebu, na znak pokoju. Otumpa wyszedł przeciw niemu i dwaj wodzowie się przywitali. Mokis żalił się na złe obęjście Komanczów z jego sprzymierzeńcami Nawajosami i upominał się o zabrane im woły i barany. Otumpa spokojnie odpowiedział, że oddać ich nie może, ponieważ są już zjedzone. Wtedy Mokis chciał zapłaty, a Otumpa dumnie odpowiedział, że ma zwyczaj pobierać różne opłaty, ale sam nie opłaca się nigdy. Mokis powiedział wtedy, że tysiąc wojowników idzie za nim i że jeżeli Komanczowie nie oddadzą dobrowolnie koni i broni, to żaden nie wyjdzie żyw z kraju, do którego wtargnęli, a który przecież ma władzę.

— Chcesz wojny? będziesz mieć wojnę, ale jeżeli naród twój jest tak dzielny, że nas zwycięży, to dwadzieścia tysięcy moich ludzi przyjdzie nas tu pomścić.

Wódz natychmiast wypuścił ku nieprzyjaciółom strzałę wyzwania, a potem galopem wrócił do swoich wojowników i powtórzył im całą rozmowę. Komanczowie, nie rzekłszy słowa, przygotowywali łuki, piki i strzelby. Ojciec Anzelm zaczął przemawiać do Otumpe w duchu zgody, przedstawiając mu, że nie wojna była celem wyprawy, że Mokisowie i Nawajosy mieli prawo pogńiewać się na przybyszów, grabiących ich własność i jeszcze przemawiających dumnie. Należało z nimi się porozumieć przed rozpoczęciem bitwy, która nawet w razie wygranej szkodliwe miałaby skutki dla wyprawy z przyczyny rannych, kłopotliwych w podróży. Tak mówił ojciec Anzelm i póty prosił, aż Otumpa pozwolił mu iść do Mokisów. Misyonarz bezbronny poszedł zatem i wkrótce znikł w tłumie nieprzyjaciół. Gdy nie wrócił w godzinę, Otumpa sam postąpił ku nim, domagając się jego powrotu. Kilka strzałów z broni palnej było jedyną odpowiedzią, po czém nieprzyjaciół uciekł co koń wyskoczy, zabierając ojca Anzelma z sobą.

XVII.

Rzeka złota.

Otumpa z razu skoczył za uciekającymi. Ale noc nadchodziła, konie potykały się, trzeba było się wstrzymać. Wśród nocy ujrano mnóstwo ognisk rozpalonych u stóp pagórków.

Miano nadzieję, że Mokisowie połączyli się tylko z główną gromadą i że jutro powrócą. Żaden z wędrowców nie pomyślał o śnie tej nocy, każdy patrzył na te ogniska, lękając się, aby nie zgasły, bo toby znaczyło, że dzicy uchodzą gdzieś dalej i misyonarza uprowadzają z sobą. Nie mówił tego jeden drugiemu, ale drżeli o życie przyjaciela.

Otumpa, widząc ich niepokój, zapewniał, że jeżeli jutro Mokisowie nie przybędą wytłomaczyć się ze swego haniebnego postępu, który jest zgwałceniem nietykalności pośrednika i posła, tedy pogoni za nimi aż do ich siedzib i mieczem i ogniem ukarze ich za nieuszanowanie jednego z najważniejszych praw pustyni. Karola zachwyciła gotowość Komanczów do walki, ale jego towarzysze dali do zrozumienia Otumpie, że i największa waleczność nie pomoże, gdy dwustu Komanczów stanie do walki z tysiącem nieprzyjaciół. Doświadczony Otumpa uspokoił przyjaciół, zaręczając, że niema c na wet zważać na przechwałki Mokisów, gdyż łatwo to przechwalać się tysiącem wojowników, ale trudniej taką gromadę zebrać i utrzymać w pustyni. Dodał Otumpa, że niera z mniejszymi niż obecnie siłami przedsiębrał wyprawy w głąb Teksasu i do Meksyku, lub na granice Stanów Zjednoczonych i zawsze powracał zwyciężąc. Przed wschodem słońca Komanczowie napoili i posiadali konie, Paweł przystąpił do Otumpe, prosząc, aby wraz z towarzyszami mógł walczyć z boku wodza.

(d. c. n.)

Niteczka Aryadny.

(Kalinka dla Topolki z nad Kodemy).

na	cho	prze	co	w swo	wie	ło	Gdy
wa	sza	to	szłość	dziec	jem	chcesz	nie
to	bra	pło	do	sła	ko	sta	ja
jedź	nie	cie	wa	kra	ra	wa	ko

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Strzały dla Kazia).

Z następujących zglosek: an—do—ed—czyc—ko—ki—mej—mund—mo—o—rze—tlen—sy—ya—ułożyć wyrazy 1. Uczony polski, na drugiej półkuli wślawiony. 2. Imię męskie. 3. Owady. 4. Gaz. 5. Zwierzęta czworonożne. 6. Granica wszystkich lądów. 7. Autor, który dużo pisywał dla młodzieży. Początkowe i końcowe litery, od góry do dołu od czytane, utworzą pseudonym poetki i nazwisko poety z XIX wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Szarady:

Ku — ro — pa — twa.

Łamigłówki gloskowej:

Natura wilka ciągnie w las.

TREŚĆ: Pogadanka botaniczna p. M. J. Z.—Śpiewaki Boże wiersz Seweryny Duchinińskiej—Nie życz drugiemu co tobie niemiło (z drzeworytem).—Dorcia powieść przez Maryą Świdorską (c. d.)—Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.)—Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Różia i Ciele (z drzew.)—Ogrodnik i dzieci wiersz.—Cyrek wujaszka p. Z. Morawską. — Kanarek, z angielskiego (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie. Dodatek książkowy: Mały książę powiastka historyczna przekład z angielskiego miss Yonge.



Różia i ciele.

RÓZIA I CIELE

Mała Różia była córeczką bardzo ubogiej wiejskiej kobiety, która ani rodziny, ani chaty własnej nie miała. Mieszkała w kącie izby u jednego wieśniaka, u którego położywszy posłanie na kilku deskach, na niem wraz z Rózią sypiała, dopomagając w pracy wieśniakowi i jego żonie. Nazywało się to, że „siedziała pokomornem” i była „komornicą”. Gdy gospodarzom u których mieszkała odrobiła co należało, najmowała się do roboty i z tego zarobku żywiła i odziewała siebie i Rózię. Latem było to wszystko łatwiej, bo i przy żniwie i przy sianie niezły bywał zarobek; no, i grzyby, i jagody, i jeżyny, i orzechy, wszystko skrzętna komornica zbierała i nosiła daleko do miasta, na sprzedaż; więc choć bardzo biedna, nie była ona przecież w nędzy a mała Różia nigdy głodu ani zimna nie знаła, dzięki pracowitej matce.

Różia miała ledwo sześć lat. Iune dziecko, tak małe, w wieście wychowane, możeby nic jeszcze nie rozumiało, ale na wsi dzieci prędko pojmują i oceniają pracę rodziców. To też i Różia doskonale rozumiała dobroć i zabiegliwość matki, i wiedziała, że to dla niej więcej niż dla siebie matka tak pracowała; myślała więc sobie nieraz Różia, jakby też to zrobić, żeby matce biedaczce pomagać choć troszkę? Oczywiście trudno to było, a nawet niepodobna sześciolatniemu dziecku czemkolwiek zapracować. Różia więc myślała nad tem długo, i nic nie wymyśliła, aż nareszcie postanowiła o to kogo spytać i spytała więc najprzód matki:

— Matusiu! jabym chciała wam w ciężkiej pracy pomagać, abyście się nie zapracowali i nie rozchorowali, ale nie wiem jakby to zrobić, powiedzcie matusiu, jakby to co zarobić?

— Ty, chcesz mi w ciężkiej pracy pomagać? chcesz zarabiać? O, ty biedactwo maleńkie, na masz tu piękną białą

pszenną bułeczkę z miasta i słodki pierniczek, wleż z tém w kąć na nasze łóżko, żeby ci kury, prosięta, albo inne dzieci nie odebrały, i zjedz: taka jest dla ciebie teraz praca na świecie — odpowiedziała matka. Różia zjadła i poszła o to samo pytać gospodyni, z którą mieszkała. Gospodyni zajęta swoją robotą, ofuknęła najprzód dzieciaka, że jej przeszkadza, a potem kazała mu skrobać kartofle, co jest zwykłą wszystkich takich dzieci na wsi robotą.

Różia skrobała, bo musiała, ale więcéj nie pytała o robotę gospodyni, bo wiedziała, że skrobaniem kartofli nic nie zarobi. Bojąc się aby jej drugi raz takiej niezyskownej roboty nie dano, nie pytała już więcéj nikogo, tylko sama rozmyślała nad tém. Czasem zaś pytała swoich przyjaciół, jak kury, gęsi, owce; bo obyczajem wiejskich kobiet i dzieci rozmawiała z tém wszystkiém jakby ją zwierzęta mogły zrozumieć. Więc naprzykład, siedząc raz z kromką chleba na progu, Różia jadła chleb zwolna, zamyślona, a wtém kura przyskoczywszy dziobnęła w chleb tak silnie, że wyrwała kawałek i uciekła, a gdyby Różia nie tak mocno trzymała, byłaby kura wyrwała wszystko; więc Różia pięścią z całej siły uderzyła uciekającą kurę, mówiąc:

— Poszła precz! nie rusz mego chleba! lepiéj mi powiedz jakby na niego zarobić, kiedy jesteś już mądra, bo stara!

— Ko ko ko ko, ko ko ko! — odpowiedziała kura.

— E, stara jesteś a niemądrze mówisz, nic nie rozumiem — rzecze na to Różia — nie ma co i pytać ciebie. I zjadłszy chleb poszła Różia wałęsać się koło chaty, wtém gdy przechodziła koło roztwartéj obory, wyskoczyło z niej żwawe ciele prosto na Rózię, jakby ją zjeść chciało, i odzywa się:

— Me!... me!!... me! — Różia kiwnęła tylko głową, mówiąc:

— Ej, możebyś mnie chciało zjeść? me! mee! — zawołała przedrzeźniając! — chcesz mnie zjeść, ja ci się nie dam! ale — dodała, przykładając palec do ust, w głębokim namyśle — może ty mądrzejsze jesteś od kury i odemnie, bo jesteś daleko większe, moje kochane ciele, możebyś mi powiedziało, jakby tu co grosza dla matusi zarobić, żeby sama tak ciężko nie pracowała? bo jak jej nie pomogę, to się zapracuje biedaczka!

— Me!... me!... — zabeczalo ciele, jakby je rozdzierano.

— E, i ty rozumu nie masz chociaż daleko jesteś większe odemnie, nic nie umiesz tylko „Me”... idź sobie precz, kiedy mi poradzić nie umiesz — powiedziała Różia i odwróciła się od niemądrego oczywiście cielęcia.

— A może jabym tobie co poradziła, kiedy ciele nie może? może jestem troszkę mądrzejsza, choć nie większa od niego? — zapytał jakiś śmiejący się głosik wesoły. Różia żywo spojrzała naokoło zdziwiona, ale nie było nigdzie nikogo; dopiero po chwili z za cielęcia i z za dwóch krówek w oborze, wyrzała główka ślicznój Jadzi, panienki ze dworu, która rano wyszedłszy z nauczycielką na przechadzkę, i zobaczywszy, że matka Rózi krowy doi w oborze gospodarza, weszła tam z ręcznie jak to wiejskie panienki umieją, a zachęcona przez gościnną wieśniaczkę, kubeczkami, który miała w kieszonce, piła świeże mleko, jak to jej doktor nakazał.

Panienka Jadzia, naśmiała się z rozmowy Rózi z cielciem, a potem spytała czy Różia nie chciałaby paść jej malutkie gąsienki i kurczątka pilnować, a jeżeli żadne nie zginię, to dostanie Różia za to zapłatę maleńką, ale z warunkiem, że będzie przytém czytać się uczyć? Różia do nauki nie miała żadnej ochoty, zwyczajnie jak dziecko, pod tym względem nie mądrzejsze wcale od cielęcia i kury; jednakże dla zarobku przystała na wszystko, a po jakimś czasie, gdy zrozumiała czem jest nauka, pokochała Jadzię serdecznie, pozostała u niej w służbie na całe życie, brała coraz większe zasługi pomagając matce, a dobrą panienkę Jadzię błogosławiąc zawsze, wraz ze swą matusią.

OGRODNIK I DZIECI.

Bawili się dzieci w sadzie:
Antoś się na kwiatkach kładzie
Po trawnikach kucyk brodzi
Po truskawkach Andzia chodzi
Kazio malec wleż na gruszkę
A na bramie oparł nóżkę
Bo on „kolos jest rodyjski”.
Wtém ogrodnik wszedł Zawijski
Co piastował tatkę tatki,
Więc wykrzyczał strasznie dziatki:
Tedy Antoś się obruszy:
— Zawijskiego kocham z duszy —
Krzyknie wnet na ogrodnika,
— Lecz pretensya to jest dzika
Żeby Andzia siostra mała
Swych truskawek zgnieść nie miała
Albo żeby kucyk biały
Nie miał zdeptać ogród cały,
Alboż to się im nie godzi
Gdy po własném każde chodzi?
A ogrodnik na to rzecze:
— Że to wasze, to nie przeczę,
Ale szkodę tém robicie.
A wszak wtedy gdy wy śpicie
Ludzie inni już w ogrodzie
I na deszczu i o chłodzie
Kopią grządki i trawniki,
A wy potem swawolniki
Całą pracę zepsuć chcecie?
— Mój Zawijsiu, już my w lecie
Również rankiem pośpieszymy
I te szkody naprawimy.
Rzekła Andzia zawstydzona.
Bo tak Antoś, jak i ona
Grzeczni byli, lecz z pustoty
Popelniali różne psoty.
Jak przyrzekli tak się stało;
Ledwie słonko zajaśniało
Już oboje z Andzią śpieszą
I wraz z całą wiejską rzeszą
Kopią grządki i trawniki.
I już odął swawolniki
Nic nie psują, nie zrywają
Bo i oni pracę znają.

CYRK WUJASZKA

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

II.

A k r o b a c i.

Janek, od ostatniéj z wujaszkiem przechadzki, szukał często podobnych akrobatów, jakich mu wuj w postaci owéj liszki pokazał; lecz jakoś sam znaleźć ich nie mógł. Chciał też dowiedzieć się, czy który z chłopczyków przypatrywał się tak jak on owadom i czy zauważył podobieństwo między liszką, a cyrkowymi akrobatami. Rzekł więc raz do jednego ze swoich towarzyszy z którym razem na dziedzińcu w piłę się bawili.

— Czy ty wiesz, Tadius, mój wujaszek to ma taki piękny cyrk, że akrobaci z tego cyrku w którym byliśmy obadwa niedawno, zawstydziłiby się bardzo, gdyby się cyrkowi wujaszka przypatrzyli.

— Ech, co ty mi takie rzeczy będziesz opowiadał, niby ja to taki malec, żebym zaraz wszystkiemu uwierzył! — odrzekł obrażonym tonem Tazio.

— A kiedy ja z ciebie wcale nie żartuję — upewniał Janek — byłem sam z wujaszkiem w tym cyrku, naprawdę widziałem taką zręczną akrobatkę, że chociaż wisi prawie w powietrzu, to nawet strach nie bierze, żeby spaść.

— Ech! A cóżes tam ciekawego jeszcze więcej zobaczył? — zapytał zaciekawiony Tadzio, widząc Janka mówiącego poważnie.

— Co prawda, nic więcej nie widziałem tylko jedną akrobatkę, lecz wujaszek obiecał mi, że ile razy zechcę, to zawsze mnie z sobą weźmie do tego cyrku; tylko to biada, że wujaszek na raz dużo rzeczy nie chce pokazać.

— Jakto, to wujaszek sam te wszystkie sztuki pokazuje?

— Ale gdzieżtam, przecież wiesz, że wujaszek nie jest żadnym skoczkiem, żeby sam miał jakie sztuki łamane przedstawiać! — odrzekł z oburzeniem Janek.

— No, przecież ja wiem, że wujaszek twój nie jest skoczkiem; ale bo nic nie rozumiem, gdzie jest ten cyrk i kto w nim skacze! — mówił z pewnem zniecierpliwieniem Tadzio.

— No, że jest cyrk i to taki wielki, taki wielki... jak... jak to podwórze, ale nie... jak świat cały...

— Ech, mój Janku, znowu sobie żarty stroisz, a ja tego nie lubię — odrzekł Tadzio, siadając na leżących deskach; — mamy się bawić, to się bawmy, a nie, to ja też z siebie żartów nie dam stroić! — dodał podrzucając piłkę do góry.

— Ale kiedy ja ci mówię, że nie żartuję.

— Aha, tylko mi opowiedz — mówił nadąsany Tadzio, — że cyrk twego wujaszka taki wielki jak świat cały, a może powiesz, że taki wysoki, tam precz, precz, aż do nieba.

— A tak, taki wysoki jak do nieba, ja sam ten cyrk widziałem, no, a jeżeli chcesz to poproszę, żebyś mógł iść z nami, bo wujaszek właśnie mówił, że jeszcze dziś pójdziemy do cyrku.

— I ty mi prawdę mówisz? — rzekł Tadzio, stając przed towarzyszem; — i ja naprawdę mógłbym zobaczyć to, co mi opowiadasz?

— A no, kiedy ci mówię, to przecieżbym cię tak w pole nie wyprowadzał! Jeżeli chcesz, poproś rodziców, żeby ci pozwolili, wujaszek taki dobry, że z pewnością zabierze nas obu.

— Zabierze, naprawdę? — pytał niedowierzająco Tadzio.

— Ale zabierze, zabierze — idź tylko poproś mamy o pozwolenie, a ja pójdę do wujaszka!

— No dobrze, ale pamiętaj, jakbyś sobie ze mnie zażartował, tobym ci tego nigdy w życiu nie przebaczył — rzekł Tadzio, podając rękę przyjacielowi.

— I każdy chłopczyk pobiegł do rodziców, a po chwili Janek przedstawił swego przyjaciela wujaszкови, który wychodząc, rzekł:

— A to nam wesoło będzie dzisiaj na przechadźce!

— A czy zaprowadzi nas wujaszek do swego cyrku? — zapytał Janek.

— Ale owszem, owszem — odrzekł wujaszek — gdzie tylko pójdziemy, wszędzie znajdziemy naszych akrobatów, skoczków, woltżerów, bylebyśmy patrzeć na nich umieli. Bo cyrk ten do którego ja chodzę, jest wielkim jak świat ten cały, a dzieją się w nim cuda, jakich trudnobyśmy szukali w którymkolwiek z cyrków, ręką ludzką wzniesionych.

— A któż to prosił pana ten cyrk zbudował, do którego nas pan zaprowadzi? — zapytał Tadzio, ośmielony serdecznością wujaszka.

— Ten, moje dzieci, kto rzucił w przestrzeń ogromne jasne słońce, ziemię naszą, i niezliczoną ilość gwiazd, którym ze zdumieniem się przypatrujemy. Ten, kto nad naszymi głowami zawiesił piękne, błękitne niebo z przesuwanymi się chmurami. Ten, kto daje tę piękną zieloność każdej wiosny, kto kazał, aby drzewa rozrastały się wysoko ku niebu, a u stóp ich mniejsze krzewy i kwiaty. Ten, kto nam życie pozwala i podziwiać tyle najdoskonalszych chociaż najdrobniejszych stworzeń, a choćby o najmniejszym pamiętać...

— Bóg! Bóg! — zawołali jednocześnie obaj chłopcy.

— Tak, dzieci moje, łatwoście zgadły. Świat ten cały jest takim cudownym, tyle spraw i przemian na nim się od-

bywa, iż niepotrzeba nam żadnych sztuk, które ludzie dla zysku przedstawiają, bo gdzie spojrzymy uważnie, zawsze w naturze odnajdziemy coś godnego podziwu.

— Nie zawiódł cię więc mój Tadzio, Janek, nazywając, iż pójdziemy do najpiękniejszego cyrku na świecie, bo żaden niema takiego pięknego jak niebo sklepienia, żaden takiego oświetlenia jak nasza ziemia; a nigdzie nam nie dadzą takich wspaniałych dekoracji jak te drzewa oto — rzekł wujaszek wskazując na ogród, do którego się zbliżali.

— A akrobaci? — zapytał Tadzio.

— Mój chłopcze, i tych zaraz znajdziesz, otóż przypatrz się tylko tym różnobarwnym motylom, które z taką zręcznością czepiają się kwiatów i roślin, a potem lekko przelatują z kwiatka na kwiatek? czyż w najpiękniejsze szaty ubrany skoczek dorówna im barwą i delikatnością stroju, lub też zwinnością ruchów?... A takich akrobatów w postaci owadów mamy niezliczoną ilość.

— A tak, prawda — przyświadczył Tadzio — ja sam widziałem motyle pomarańczowe, czerwone z czarnem z oczkami na skrzydłach; białe zupełnie, cytrynowe, a nawet czarne z białem.

— Aha, tak — przerwał Janek, — te to już i ja zauważyłem, one nazywają się żałobnikami; lecz najbrzydsze są białe motyle.

— Nietylko że najbrzydsze, lecz najszkodliwsze, mój chłopcze. Są to szkaradne żarłoki, szkodzą one bardzo roślinom ogrodowym, a szczególnie lubią liście kapusty, chociaż i innem warzywem nie gardzą. Nazywają je kapustnikami. Prawie wszystkie motyle mają dwie pary skrzydeł, pokrytych drobnutkim pyłkiem. Gdy są jeszcze liską bardzo dużo jedzą, a tak się nasycą, że będąc pupką czyli poczwarką, niepotrzebują już pożywienia; a nawet, gdy się zamieniają w motyla, także nie wiele potrzebują pokarmu; chociaż dolną wargą wysysają słodycz z kwiatów.

(d. n.)

KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

(Dalszy ciąg).

Aż do tego czasu z takim zajęciem rozglądała się na wszystkie strony, czy nie ujrzy kogo, wołającego na nią, żeby się zatrzymała, że nie spostrzegła, iż Natalcia coraz wolniej szła za nią i coraz bliżej się stawała; teraz jednak zwróciło to ję uwagę, a zatrzymując się, spytała:

— Czyś się już zmęczyła, Natalko?

— Nie, mam, *niebardzo*.

Natalcia była cierpliwą dziewczynką i nigdy się nie skarżyła, gdy ję co dolegało.

— Możesz głodna?

— Nie, mam, *niebardzo*.

— A może chora?

— Nie, mam, nie-bar-dzo — odpowiedziała łkając.

— No to czegoż płaczesz? dzieciątko, co ci jest? powiedz?

Brownowa zostawiła wózek na drodze, zapomniała o swoim towarze, a siadając pod drzewem, wzięła Natalkę na kolana.

— Powiedź mi, co ci jest?

A to wszystko działo się w tój samej chwili, gdy pani Leigh brała swoją córeczkę na kolana, pytając także, czego płacze, a Elyta odpowiadała tak samo jak Natalcia, zalewując się łzami.

Elyta płakała, że kanarek ję zginął, a Natalcia płakała, bo była głodna, słaba i zmęczona.

Odpowiadała: „Nie mam, nie bardzo” gdy matka zapytywała ję, czy nie była głodna, zmęczona, lub słaba, bo biedne dziecko rzeczywiście nie wiedziało, co ję było.

Od kilku dni jadła bardzo niewiele, a dziś od szóstej rano chodziła po mieście za wózkiem, bez obiadu, bez śniadania nawet, nic więc dziwnego, że była osłabiona i miała ochotę do płaczu.

Co za różnica między Edytą, siadającą właśnie w tej chwili, do smacznego obiadu, a biedną, głodną Natalcią!

A jednak Edyta myślała, że nie ma na świecie istoty tak nieszczęśliwej jak ona.

Często tak się z dziećmi przytrafia; sądzą, że są bardzo nieszczęśliwe, gdy nie mogą otrzymać upragnionej zabawki, lub gdy je jaka przyjemność ominie; gdyby jednak wiedziały, o ile im lepiej na świecie niż tylu biednym dzieciom, które nigdy nie dostają tego, czego potrzebują, które przez całe życie spotykają same smutki i zawody, pewno wstydziłyby się, że ze swoich małych zmartwień robią takie wielkie rzeczy. Gdyby Edyta była widziała teraz biedną Natalkę, z pewnością zawstydziłaby się łez wylanych nad stratą kanarka. Nie powinniśmy sądzić Edyty zbyt surowo, dla niej strata Pipa była prawdziwem zmartwieniem. Znajdują się jednak dziewczynki i chłopcy płaczący, że usłyszeli coś niemiłego, że nie mogą robić wszystkiego co im się podoba, lub dla jakiejś równie błahej przyczyny, i dla takich dzieci nie mogą znaleźć żadnej wymówki, a łzy ich, wcale mnie nie wzruszają. Podobnie jak z małemi zmartwieniami, dzieje się i z lekkim stłuczeniem.

Często bardzo, moi mali czytelnicy, gdy które z was upadnie, uderzy się w rączkę lub kolanko, albo też nabije sobie guza na czołe, krzyczy i płacze w niebogłosy! a co się to dzieje, gdy się jeszcze kropelka krwi pokaże!

Pomyślcież teraz, ile to razy biedne dzieci zostawione bez opieki, kaleczą się niebezpiecznie, rozbijają główki, lub łamią ręce i nogi! I nikt ich wtedy nie uspokaja, nikt maści gojących i plasterków nie przykładą.

Gdy się teraz kiedy uderzycie, przypomnijcie to sobie. A gdy które z was ząbek zaboli, lub gdy dostanie kataru i będzie chciało się pieścić, niech pomyśli, że może gdzie w pobliżu jest biedne dziecko pozbawione starań i naprawdę chore.

Musimy jednak powrócić do biednej Brownowej siedzącej nad drogą, z chorą córeczką na kolanach.

— Cóż ja ci poradzę, moje ty biedactwo? — mówiła, przyciskając Natalkę do serca biedna przekupka. — Może chcesz, żebym ci kupiła chleba, czy też wolisz wrócić do domu i położyć się do łóżka?

— Wolałabym wrócić do domu — odpowiedziało dziecko ale wtedy mateczka nie mogłaby dalej sprzedawać owoców i jarzyn.

Natalcia miała wielką ochotę położyć się do łóżka, ale była taką dobrą, niesamolubną dziewczynką, że dla matki, byłaby się wyrzekła swoich życzeń.

— Mogę wrócić do domu, bo pewno i tak nic już dzisiaj nie sprzedam — rzekła Brownowa. — Znać moje jarzyny nie są dość ładne i nikomu się nie podobają, bo codziennie mniej sprzedaję, a nie stać mnie na lepsze. Przychodzi mi już do głowy, wziąć się do czego innego, ale nie wiem jeszcze do czego? A ty co myślisz, Natalko?

Natalka nic nie odpowiedziała; matka spojrzała na nią, a myśląc, że usnęła, nie rzekła nic więcej. Dziewczynka leżała z zamkniętymi oczkami, uśmiechając się słabo.

— Do czego się uśmiechasz, kochanko?

— Cicho, mamó — szepnęła, nie otwierając oczu. — Słucham tego ptaszka, co tak ślicznie śpiewa. Ach, jakie to piękne, mateczko.

— Ptaszek, co tak ślicznie śpiewa — powtórzyła Brownowa — chyba ci się śni moje dziecko, teraz niema ptaszków śpiewających; przecież to Październik. Pewno słyszysz katarzynkę, albo jakiego chłopca gwiżdżącego gdzie blisko.

— Ale mateczko, posłuchaj tylko, to ptaszek, *wiem*, że to ptaszek. O! teraz znowu.

I rzeczywiście słychać było śpiew ptaszka, zdawało się, że dochodził z drogi, chociaż nigdzie w okolicy drzew nie było.

— A to dziwne — rzekła Brownowa — musi to być ptaszek, ale z kądyby się wziął o tej porze? Musi być koło wózka, bo głos z tamtej strony dochodzi! Pójdę obaczyć, co to takiego.

— Ostróżnie, mateczko — zawołała Natalcia — ostrożnie, żebyś go nie przestraszyła. Weź mnie z sobą, jabym go chciała także zobaczyć.

Brownowa wzięła dziewczynkę na ręce i zbliżyła się ostrożnie do wózka; na brzegu, skubiąc listeczek sałaty, siedział kanarek.

— O mateczko, mateczko! Jaki śliczny żółty ptaszek! Złap go mamó, i weźmy go do domu.

— Wziąć go do domu — zawołała Brownowa — a cóż my z nim zrobimy? Nie mamy przecież klatki, nie wiemy nawet jak się z nim obchodzić.

— W szopie jest stara klatka po naszej sroce; możnaby ją naprawić i wsadzić do niej kanarka.

— Zapominasz moje dziecko o jedzeniu; czemuż go będziemy żywiły, kiedy same nieraz co jeść nie mamy.

— A sałata i muchotrzep, mamó? tyle ich jest w naszym ogródku, a patrz z jakim smakiem je zajada.

— Ależ on nie może żyć tęp tylko; to nie jest leśny ptaszek; trzeba mu dawać siemię konopne, kanar i rzepak. Zresztą nie należy on do nas, pewno uciekł komu.

— O! pozwól mi go wziąć, mateczko! On zdechnie, jeżeli go tu zostawimy.

I Natalcia załapała się łzami.

Brownowa chciała się jeszcze opierać, ale widząc zmartwienie córeczki, przystała na wszystko. Przestraszyła się, widząc dziecko tak osłabionem, wiedziała, że Natalcia musiała być naprawdę chorą, bo inaczej, jej dobra, cierpliwa córeczka nie byłaby płakała dla tak błahego powodu. Pragnęła teraz wrócić jak najprędzej do domu, by położyć dziewczynkę do łóżka i dać jej co ciepłego.

Posadziła więc Natalkę na ziemi, zbliżyła się do wózka i złapała kanarka. Ptaszek przez chwilę ćwierkał i trzepotał skrzydełkami, wkrótce się jednak uspokoił, bo jak wicie, był bardzo oswojony.

(d. c. n.)

Łamigłówka głoskowa (Alinki).

a, a, a, a, i, i, j, k, k, k, m, n, p, r, t. Z tych liter ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 26-go.

Łamigłówki głoskowej:

Gość w dom, Bóg w dom.

Korespondencya.

Klasztorowi w Jazłowcu. Odebraliśmy za kwartał 1-szy rs. 2, a należy nam tylko rs. 1 kop. 25, pozostaje u nas przeto na dalszą prenumeratę kop. 75.

P. Dominikowi Tarłowiczowi w Świsłoczy. Portret Kościuszki wysłany i należy się nam wszakże dopłaty kop. 15 gdyż kosztuje z przesyłką rs. 2, a przesłano nam tylko rs. 1 kop. 85.

Do wszystkich czytelników naszych. Prosimy o strzymanie korespondencyi do powrotu p. Zaleskiej, która do wód wyjechała jak to już donosiliśmy.